

„Wścieklica” czyli... ile jest Witkacego w Witkacym

„Wścieklica”! To słowo mnie zelektryzowało. Właściwie to zelektryzowała mnie informacja, że ciechanowski Teatr Exodus przygotowuje premierę dramatu Witkacego „Jan Maciej Karol Wścieklica”. Dlaczego? Dlatego, że od ostatniej premiery tego teatru minęło niemal 6 lat. Dlatego, że będą grali na zupełnie innej scenie niż zawsze. Dlatego, że jest to w dorobku Witkacego sztuka szczególna, zdawać by się mogło bez metafizyki, osadzona w realiach, w której to sztuce łatwo nadziać się na odniesienia do polityki i to nie tylko dwudziestolecia międzywojennego, ale także okresu komuny i całego przekroju III RP, aż do polityki bieżącej formatu krajowego, jak i lokalnego. A przecież we „Wstępie do teorii czystej formy w teatrze” autor napisał, że „wychodząc z teatru człowiek powinien mieć wrażenie, że obudził się z jakiegoś dziwnego snu, w którym najpospolitsze nawet rzeczy miały dziwny, niezgłęziony urok charakterystyczny dla marzeń sennych, nie dających się z niczym porównać”. Najbardziej jednak ciekaw byłem jak Katarzyna Dąbrowska, Anna Goszczyńska i cały zespół poradzą sobie z tym właśnie wyzwaniem oraz uniknięciem nawiązywania do bieżącej polityki.

Jechałem więc do Fabryki Kultury Zgrzyt, gdzie zaplanowano premierę, z kłębiącymi się w głowie myślami. Wcześniej kilka osób z przeróżnych środowisk pytało mnie jako recenzenta poprzednich spektakli, co może być w tym przedstawieniu. Czuć było pewne napięcie, może nie aż takie jak przed premierą „Kleru” Wojciecha Smarzowskiego, ale też silne.

Wścieklica to postać chłopca ze wsi, który zrobił oszałamiającą karierę polityczną od wójta do prezydenta Polski z widokami nawet na króla. Może trochę prostacki, ale na pewno nie głupi. Obdarzony charyzmą, samodzielny, jednak nie wolny od przywar, wad, ludzkich namiętności i słabości. To też postać człowieka zmęczonego, niby wypalonego, ale jeszcze chcącego kształtować świadomość społeczną, choćby poprzez napisanie dzieła „Opus Magnum”.

A o czym jest sam dramat? Na sali w ciemności powitały mnie dość niespodziewane dźwięki „Czterech pór roku” Vivaldiego, a konkretnie „Wiosny”. Drugi i trzeci akt zaczynał się odpowiednio „Latem” i „Jesienią”. Na „Zimę” aktów zabrakło... Może to i dobrze. Zima na wsi jest najnudniejsza. Można to też odnieść do losów głównego bohatera. Przeżył wiosnę, pełnię lata i jesień swojej kariery, kiedy nie miał siły ani ochoty na rozpoczęcie sprawowania urzędu w sposób niezgodny z jego wolą indywidualisty. Zima zapewne nastąpiła, kiedy już zasiadł za biurkiem w dalekiej Warszawie i stał się figurą, a może nawet pionkiem na szachownicy.

Katarzyna Dąbrowska na motyw przewodni swojej wizji obrała rozgrywanie. Tak, Wścieklica jest rozgrywany – przez delegatów z miasta, wieśniaków, a nawet przez własną żonę... i kochankę. Ma świadomość, że otacza go rzeczywistość kresu indywidualistów i indywidualności. Nachodzący go ludzie rozgrywają swoje gry, których on jest zasadniczym elementem, ale tylko elementem. Ma świadomość, że jego prezydentura będzie wypadkową tych rozgrywek, nie jego wolą. Wygrywa wybory, ale czy wygrywa jako człowiek, indywidualista, jednostka? Czy świat i otoczenie jakie obserwuje dookoła siebie w kolejnych aktach i scenach jest prawdziwy, czy jest stworzony przez innych graczy, by skłonić go do konkretnych,

takich a nie innych myśli, osądów, zachowań i wyborów? To również, ale w drugim rzędzie, sztuka o awansie ze społecznych nizin na salony i często jego zgubnych dla jednostki skutkach. O tym, że partie polityczne kreują osoby z pierwszych stron gazet na swoje potrzeby, ale też je niszczą, kiedy przestają być potrzebne.

Polityczny podtekst tej sztuki był od samego początku jej przekleństwem i błogosławieństwem zarazem. Przyciągał widzów i reżyserów jak magnes, ale i odstraszał. Prapremiera z udziałem Władysława Brackiego w roli Wścieklicy nie doszła do skutku. A były już gotowe dekoracje. Kolejną próbę podjął Teofil Trzeciński, ale... wycofał się. Przeraziły go porównania Wścieklicy do Wincentego Witosa. Ostatecznie sztukę wyreżyserował Jan Pawłowski w 1925 r. Ale czy w obliczu Wścieklicy na chwili mgnienie nie przebija się twarz zaciekłego przeciwnika Witosa czyli Józefa Piłsudskiego? Dramat, a w zasadzie jego główny bohater, od porównań do polityków nie uwolnił się nigdy. W kolejnych latach we Wścieklicy widziano Lecha Wałęsę, który z elektryka stał się prezydentem. Później Andrzeja Leppera, przywódcę rolniczych blokad, który awansował na fotel wicepremiera. Kiedy w 2003 r. sztuka miała być wystawiana w Rzeszowie, protestowały lokalne środowiska PSL widząc w niej satyrę na Jarosława Kalinowskiego.

Wścieklicy można się też doszukiwać w postaciach literackich i fikcyjnych. Widziano go w Nikodemie Dyzmie, czy Czepcu z „Wesela” Wyspiańskiego. Mnie osobiście nasunęły się analogie z Pawłem Kozłem z serialu „Ranczo” – wójtem, który został senatorem, a później prezydentem Polski oraz z Bartłomiejem Czopem ze spektaklu Teatru Telewizji „Południk 19” ze wspaniałą rolą Andrzeja Grabowskiego.

Polityka jest dość schematyczna, więc „gębę” Wścieklicy można by przyszyć wielu. To dobrze, że Teatr Exodus nie poszedł tą drogą i skupił się na zupełnie czymś innym. Czymś daleko istotniejszym. Oni po prostu odrealnili najbardziej realistyczny dramat Witkacego tak, aby widownia poczuła się zgodnie z zaleceniami samego autora cytowanymi wcześniej. Ugotowali strawę teatralną niemal zgodnie z przepisem, czyli samym dramatem, doprawiając ją jednak podwójną dawką „prawdziwego” Witkacego, wydobywając pełnię smaku metafizyki, nonsensu i groteski. Było to możliwe dzięki odpowiedniemu scenariuszowi, reżyserii oraz grze aktorskiej. Tak więc mamy dwie aktorki (Agata Kozłowska i Anna Stępień) grające aż cztery postaci, w dodatku płci męskiej. Podskakujemy na odgłosy niespodziewanych huków wystrzałów z pistoletu Wścieklicy, oddawanych we własnym domu, które powodują panikę pozostałych aktorów i nerwowe gdakanie kur, milknące natychmiast po krzyku Wścieklicy. Mamy też taniec rozmarzonej Wandy sugestywnie granej przez Katarzynę Frankowską, skąpanej w toni czerwonego światła i dźwiękach piosenki „Twe usta kłamią” Anny Marii Jopek. W ogóle efektów świetlnych jest znacznie mniej niż w poprzednich spektaklach Teatru Exodus. Być może jest to działanie rozmyślane, a może wynika z ograniczeń technicznych nowej sceny. Za to niesamowitości sztuce dodaje nowoczesna muzyka, ostro kontrastująca z wiejską izbą i przedwojennymi czasami. Jest ona też łącznikiem, takim korytarzem, tajnym przejściem lub teleportem łączącym ówczesną teraźniejszość z przyszłością, czyli teraźniejszością widza z XXI wieku. Wskazuje, że Wścieklica mógłby istnieć również i dziś. I tak po ważnych kwestiach z głośników wydobywa się partia perkusyjna rozpoczynająca utwór „To tylko tango” zespołu Maanam. W zestawieniu z pozostałą sceniczną rzeczywistością wywołuje ona niemal taki efekt jak słynne *jump scares* w horrorach i thrillerach, a jednocześnie sugeruje widzowi, na czym warto skupić uwagę. Pełni rolę jakby wykrzyknika lub pogrubienia i podkreślenia w tekście pisanym. Warto wspomnieć końcową scenę siedzącego za stołem i przytłoczonego Wścieklicy otoczonego, a w zasadzie osaczonego przez pozostałe postaci, które w groteskowy

sposób toczą przed nim rozgrywkę. Każdy swoją – bezładnie, niezależnie od siebie, a jednak w jakiś sposób jest to rozgrywka skoordynowana, która jeszcze bardziej pogrąża głównego bohatera. I wspaniała, niezapomniana „Lullaby” The Cure w tle. Jedna z moich ulubionych piosenek – ikona postpunku końcówki lat osiemdziesiątych. I jak tu nie kochać tego teatru?

Zmieniająca się nagle mimika aktorów jest również przerysowana, co doskonale prezentują Mariola Jarczewska i Katarzyna Frankowska. Ale czy tak naprawdę nie są to pozy znane z codziennego życia, kiedy na przykład prowadząc z kimś sprzeczkę lub kłótnię zmieniamy głos na słodziutki i spokojny, kiedy akurat zadzwoni telefon, by dopasować go do rozmówcy? Często wówczas mimowolnie nagle nasze oblicze promienieje i pojawia się uśmiech, choć sekundę wcześniej moglibyśmy rywalizować w srogości oblicza z chmurą gradową. Najbardziej pracowite zadanie miał Michał Wulczyński odtwarzający samego Wścieklicę. Zrobił to tak, jak zrobić powinien. W tej postaci liczyło się bardziej co mówi, niż jak to mówi, choć mimika aktora doskonale uzupełniała tekst, podkreślała jego znaczenie, interpretowała go i mówiła to, co napisane pomiędzy wierszami – oklaski. Najbardziej „normalną” postacią jest, grana przez Agatę Chylińską, Zosia. To prosta, wiejska dziewczyna na służbie u bogatej i znaczącej rodziny. Tomasz Orzół również musiał przybrać dwie maski odgrywając tak różne postaci jak Mlaskauer i Twardysz. Warto też wspomnieć początkowy epizod Wścieklicy sikającego w kącie. Scena na pierwszy rzut oka niedorzeczna i niestosowna... jednak jeśli ktoś zna rzeczywistość popegeerowskiej wsi lat dziewięćdziesiątych – pijanej i balansującej na skraju ubóstwa – wygląda to jak dokumentalny zapis rzeczywistości tamtych czasów. Nie sposób też zapomnieć aktu cielesnej miłości pomiędzy Wścieklicą i Wandą siedzących oddzielnie na ciukach słomy... palce lizać.

Można by zatem w ostatnim zdaniu zwrócić się wprost do zespołu Teatru Exodus i rzec: udało się Wam, udało jak cholera, znów się Wam udało. Tyle, że tu nic się nie udało samo – to mieszanka talentu reżyserskiego, scenograficznego i aktorskiego, pasja, ciężka praca, doświadczenie, znajomość witkiewiczowskiego świata od podszewki i magia tego właśnie teatru sprawiły, że z tej sztuki wychodziłem właśnie z poczuciem obudzenia się z dziwnych sennych marzeń. Bo „Jan Maciej Karol Wścieklica” to jeden z najchętniej granych dramatów Witkacego... ale też taki, w którym najłatwiej chyba zgubić gdzieś ducha Witkacego. Exodus tego ducha nie zgubił, lecz go wywołał, wydobył, wzmocnił i oświetlił reflektorami, by ten okrył publiczność aurą swojej specyficznej, unoszącej się w powietrzu obecności.

Dariusz Węclawski

Czas Ciechanowa

nr 41, 10 października 2018 r., str. 29